

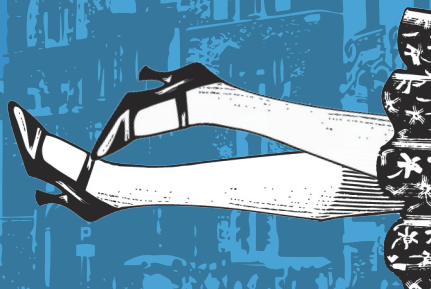
LIRA
WYDAWNICTWO

KAROLINA

MORAWIECKA



CZY WSZYSTKO JEST TYM,
CZYM SIĘ WYDAJE?

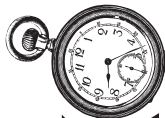


KONTRAPUNKT



KONTRAPUNKT

KAROLINA MORAWIECKA



LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-68101-26-3

Mamie

kontrapunkt — 1. *muz.* jednoczesne prowadzenie dwóch lub nawet więcej linii melodycznych według określanych zasad tonalnych, harmoniczných i rytmicznych, nazwa głosu dokońponowanego do istniejącej już melodii, 2. *muz.* dział teorii muzyki, sztuka takiego zestawiania głosów, 3. *muz.* samodzielna melodia towarzysząca głosowi w utworze wielogłosowym, 4. coś uzupełniającego, dopełniającego jakiegoś zjawisko

Słownik współczesnego języka polskiego,
red. B. Dunaj, Warszawa 1999

WTEDY

Świat zza ściany deszczu był całkiem inny. Nieznany. Pociągający.

Wycieraczki nie nadążały. Chwilami wydawało się, że zaraz złamię się pod naporem niepowstrzymanego żywiołu. Poruszały się tak szybko, a przecież od dłuższej chwili to, co przed nimi, było zamazane, jakby przynależało do części jakiejś innej rzeczywistości.

Za to w środku było ciepło. Bezpiecznie. Sennie.

Rytm wystukiwany przez krople otulał i usypiał.

Karoseria tamtego auta załśniła w świetle reflektorów tylko na ułamek sekundy. W zasadzie można było udawać, że go tam nie ma. Wystarczyłoby na moment zamknąć oczy albo chociaż zasłonić je palcami jak przy odliczaniu w chowanego.

Samochód zatrzymał się jednak gwałtownie i stał przez chwilę w pełnym warkotu oczekiwaniu. Wreszcie dłoń ze złotym zygzakiem obrączki przekręciła kluczyk i wszystko zamilkło. Słysząc było tylko szum wody. Krople uderzające w hipnotyzującym rytmie o blachę pojazdu. I wtórujący im dźwięk świateł awaryjnych.

— Sprawdzę, co się stało. Nie wychodźcie — rzucił stanowczo.

— Może lepiej poszukajmy telefonu? Gdzieś w pobliżu powinna być budka... — rozpaczliwie próbowała go zatrzymać.

— Najpierw musimy być pewni, że pomoc w ogóle jest potrzebna. Może jakiś kretyn po prostu zostawił auto na poboczu — otworzył drzwi i zniknął za ścianą deszczu.

Nie wiedział, jak długo to trwało. Śledził krople spływające w zawrotnym tempie po szybie. Próbował dłonią zatrzymać je na chwilę — ale od wewnątrz to się nie udawało. Chociaż przyciskał palce ze wszystkich sił.

— Poczekaj, muszę coś sprawdzić — rzuciła nerwowo. — Ani się waż wysiadać! Zaraz wrócimy.

Nie zwrócił na nią większej uwagi. Spod półprzykniętych powiek obserwował wodne esy-floresy, które nie chciały poddać się jego woli.

Chyba zasnął, bo kiedy ponownie otworzył oczy, wokół przestało być ciemno. Deszcz ustał. Za to w środku było bardzo, bardzo zimno. Przez chwilę próbował grzecznie siedzieć, pamiętając słowa, które wypowiedziała. Ale ciekawość zwyciężyła pręży się w brzuchu strach.

Powoli nacisnął klamkę, jakby przeczuwając, że po otwarciu drzwi wszystko się zmieni. Że tam, po drugiej stronie, wszystko będzie inne.

PONIEDZIAŁEK, 28 CZERWCA

Z perspektywy czasu dziwił się, że nie dostrzegł żadnego ze znaków. Teraz były dla niego oczywiste. Teraz je rozumiał. Jednak wtedy umykały mu, ewidentnie się z nim drażniły. Przybierały pozory codziennych, banalnych wydarzeń, choć przecież zapowiadały śmierć. I to niejedną.

Ot, choćby dwa dni wcześniej podczas porannego spaceru z Kulką, na jezdni, zaraz na wysokości klatki schodowej, zobaczył ciało martwego kosa. Biedaczysko, wypadł z gniazda i wbił się swoim dzióbkiem w czerni asfaltu jak niepokojący wykrzyknik. Przez chwilę Michał był pewien, że zastygłe oko patrzy na niego oskarżycielsko. Pamiętał, że chciał przenieść jego ciało na trawnik, rozglądał się nawet przez chwilę za kawałkiem jakiegoś papieru czy gałęzią, dzięki której mógłby go przesunąć pod omdlewające od żaru hortensje. Jednak Kulka szarpnęła nagle smyczą i zawarczała, a potem, całkowicie obojętna na rozlegający się tuż obok dramat, ruszyła na krótkich łapkach w stronę kota grzejącego się na murze otaczającym pobliską willę. Żywego. Gdy wrócili ze spaceru kilkanaście minut później, po kosie nie było już śladu. Jedyne na rozgrzanym i lepkiem asfalcie dawało się dostrzec małe niepokojące wgłębienie.

Albo tamta chmura — niczym kir zakryła nagle pół nieba i przez kilkanaście minut unosiła się nad Krakowem czarna i ciężka, zapowiadająca burzę, która zresztą nie nadeszła.

I wreszcie ich ostatnie spotkanie. Niby było jak zawsze, choć — sam już nie był pewien, czy sobie tego nie wyobraża — jakoś bardziej nerwowo. Coś niepokojącego unosiło się w nieznośnie nagrzanym powietrzu. Może właśnie dlatego na jej: „To do zobaczenia wkrótce, Michałku”, tym razem odpowiedział: „Oby nie”. Oczywiście nie wypowiedział tych słów na głos, co to, to nie. Na to był zbyt uprzejmy, za dobrze wychowany. W rzeczywistości uśmiechnął się tylko zdawkowo i wyszedł, domykając cicho drzwi. Jak zawsze z uczuciem ulgi, że ma to już za sobą. Że przynajmniej przez jeden dzień będzie miał spokój.

A potem zobaczył ją jeszcze raz. Kawałek niedbale ułożonego koka wyłonił się zza prześcieradła, którym sanitariusze przykryli ciało. Mieli problem na wąskiej klatce schodowej; nie mieścili się w trójkę na półpiętrze zastawionym doniczkami z kwiatami, które całe lata hodowała — dwóch silnych mężczyzn o minach wyrażających całkowity brak emocji i ona, przypięta do noszy, żeby przypadkiem nie spadła, a w tle sansewianie, fikusy i kroton. Wzniesione przez nich drobinki kurzu nagle zawirowały w promieniach słońca wpadającego przez wysokie okna klatki schodowej

i błyszczały przez moment w powietrzu jak płatki sztucznego śniegu zamknięte w szklanej kuli. Szeleżny przypatrywał się temu z neodpartym poczuciem, że to wszystko nieprawda, że to tylko sen. Wrażenie minęło wraz z głuchym odgłosem, gdy jeden z sanitariuszy, ten cięższy, z siwymi przyklapniętymi od potu lokami, uderzył łokciem w glinianą doniczkę z paprotką.

— Może jakoś pomogę — spytał głupio, gdy się tak szamotali na półpiętrze, obserwując ich z bezpiecznej przystani swoich drzwi. — Tu chyba trzeba będzie w pionie jakoś, do góry te nosze i pod kątem — usiłował się na coś przydać.

— Taa — odpowiedzieli ewidentnie zirytowani. Upała jak nie wiem co, a oni mieli przed sobą jeszcze trzy i pół piętra. Ale po chwili kotłowaniny posłuchali go. Ten drugi, z kwadratową szczęką i małymi oczami, stęknął z wysiłku, podniósł wysoko ręce, nosze uniosły się, prześcieradło osunęło się jeszcze niżej i Michał na ułamek sekundy zobaczył Marię Stranowską po raz ostatni. Natychmiast zamknął oczy.

— Panowie sobie poradzą — z mieszkania naprzeciwko wyszedł policjant, który mniej więcej godzinę wcześniej go przesłuchiwał. Wysoki brunet, równy z Szeleżnym liczącym nierówne sto osiemdziesiąt siedem i pół centymetra wzrostu, z wyraźnym brzuchem piwosza, wydawał się nerwowy. Zasłonił sobą drzwi z numerem 28 i bezczelnie lustrował Michała kolejny

już dzisiaj raz, przy czym cały czas uderzał wielką dłońią w masywne udo. Może się gdzieś spieszył, a może mimo wielu lat w zawodzie po prostu nie przywykł do widoku śmierci. Lub — przyszło do głowy obserwującemu go Michałowi — nie potrafi opędzić się od jakiejś piosenki i nieświadomie wystukuje jej rytm. — To nie jest ich pierwszy raz.

— Oczywiście — bąknął zawstydzony. — Po prostu chciałem się na coś przydać... Jakoś pomóc, bo człowiek tak stoi bezradnie... — tłumaczył zażenowany.

— Jasne — uciął komisarz. Kiedy niedawno przesłuchiwał sąsiada denatki w celu złożenia wyjaśnień i usłyszał, że Szeleźny Michał, lat trzydzieści pięć, pracuje jako nauczyciel historii w jednym z pobliskich liceów, oblał go zimny pot. Wiadomo, tacy są najgorsi. Zawsze wiedzą lepiej i wszystko i wszystkich chcą poprawiać. Mieć takiego za świadka, to strzelić sobie w stopę. Niby nie zabije, ale długo będzie boleć. Za długo. — Sprawa wydaje się czysta — postanowił na wszelki wypadek utrwalić ten znamieny fakt — ale gdyby pan coś jeszcze sobie przypomniał... — niedokończonemu zdaniu towarzyszył zdawkowy gest wręczenia wizytówki. Od tygodnia było cholernie gorąco, a tu, na czwartym piętrze, temperatura wydawała się nieznośnie wysoka. Najwyższy czas wracać do komendy, gdzie klimatyzacja działa z całą mocą. Załatwi się papierkową robotą i fajrant, można do domu na zimne piwko.

— Mnie się to w głowie nie mieści... — Michał tak naprawdę wciąż nie mógł dojść do siebie. Nie tylko pierwszy raz wzywał policję, co samo w sobie było przerażające i w jego prywatnej skali rzeczy niezwykłych jeszcze dziś rano byłoby na samej górze, ale pierwszy raz widział zwłoki. Co prawda za bardzo się nie przyglądał, po prostu krzyknął i pobiegł do siebie po telefon, ale coś tam jednak zobaczył. Dziwnie bladą stopę, z której zsunął się pantofel, z niebieskosiną plamą opadową na pięcie. Rękę wykrzywioną w paroksyzmie śmierci, ze skierowanymi do góry gruzłowatymi palcami drapieźnie chwytającymi nagrzane czerwcowe powietrze. Przekrzywioną na bok głowę. Farbowane na brąz włosy związane w luźny kok. — Rozumiem serce, wypadek, ale samobójstwo... — próbował spojrzeć schodzącemu już z półpiętra policjantowi w oczy. Podświadomie czuł, że musi z nim o tym porozmawiać. Zatrzymać go jeszcze na chwilę. Zrozumieć, co niezrozumiałe.

— Człowiek nigdy nie pozna drugiego tak do końca — rzucił filozoficznie policjant. Wisząca tuż obok wysokiego okna doniczka z zielistką tworzyła nad jego głową coś na kształt zielonej aureoli. Chyba chciał się uśmiechnąć, ale wyszedł mu jakiś dziwny grymas i przez chwilę wyglądał jeszcze gorzej niż leżąca niedawno na wyfroterowanej podłodze we własnej kuchni Maria Stranowska. — W kontakcie! — pożegnał się i ruszył w dół po schodach.

Już piętro niżej poczuł, że temperatura przyjemnie się obniża. Miał wielką ochotę zagwizdać, ale się powstrzymał. Nie miał wątpliwości, że za każdymi drzwiami czają się rozemocjonowani sąsiedzi i bacznie obserwują go przez wizjer. Że stoją tak już od kilku godzin, to jest od momentu, kiedy radiowóz na sygnale podjechał pod kamieniczkę przy ulicy Zaleskiego i zatrzymał się tuż przy pierwszej klatce, blokując na długi czas drogę wewnętrzną. I dobrze im tak, zarechotał w duszy, niech sobie stoją, niech gadają. A on przynajmniej tym razem nie będzie się z nimi musiał użerać. Denatka zrobiła mu tę przysługę, że zostawiła list pożegnalny na stole. Tuż obok butelki po leku, który wcześniej zażyła. Zaś ten cały Szeleźny Michał, sąsiad zmarłej, zadzwonił na policję zaledwie kilka godzin po zgonie, co przy tych temperaturach miało ogromne znaczenie. Tak więc sprawa była czysta, i to dosłownie.

Samobójczyńi albo świadomie, albo szczęśliwie dla prowadzącego śledztwo, zamiast wieszać się, czy zjeść tonę tabletek, zmieszała z wysokoprocentowym alkoholem syrop na kaszel. W efekcie Wracz i technicy nie musieli się babrać w odchodach czy wymiocinach. Maria Stranowska wybrała śmierć przez uduszenie — niezbyt pewnie przyjemną dla niej samej, ale niewątpliwie czystą i schludną, na ile tylko czysta i schludna może być śmierć w taki upał. Biorąc pod uwagę sterylny porządek w mieszkaniu, modus operandi był

identyczny z charakterem denatki. Tak, niewątpliwie wszystko do siebie pasowało. Prokuratorowi Urbańskiemu nawet się dupy nie chciało ruszać w ten upał.

— Jak się wszystko zgadza, to git i szafa gra, Wracz. Wracaj na komendę i do papierów — rzucił do słuchawki po raporcie policjanta.

Pieprzony elegancik! Komisarz z irytacją pomyślał o siedzącym teraz w klimatyzowanym gabinecie, na pewno ubranym jak z żurnala, mężczyźnie. Jego nowy partner, aspirant Tomasz Tomczyński zwany pieszczotliwie Tomciem, wyjawiał mu w sekrecie, nad którąś z kolei zapoznawczą wódeczką piłą gdzieś na Kazimierzu, że Urbański nie zawsze tak wyglądał. Podobno kilka lat temu naczytał się Miłoszewskiego i teraz mu się wydawało, że jest, kurwa, drugim Szackim. Może i ubierał się jak tamten, ale zdecydowanie — Wracz wyczuwał takich na kilometr — był dupkiem. Za to takim, który dobrze wie, skąd wieje wiatr. Z kim należy trzymać, a kogo lepiej unikać, bo jest na spalonej pozycji. Albo już wkrótce może się na takiej znaleźć.

Inna sprawa — pomyślał — że w tym akurat wypadku mógł mieć rację. Zazwyczaj sprawy są dokładnie tym, na co wyglądają. Nie ma sensu ich zbyt komplikować. To ostatnie jest domeną pisarzy, którzy o policyjnej robocie nie mają pojęcia, ale uparli się na pisanie kryminałów.

— Tak jest, git i szafa gra — podsumował więc teraz ostatnie godziny pracy w mieszkaniu pod numerem

28. Wszystko jasne, żadnego śladu udziału osób trzecich, nic podejrzanego. Klasyczny samobój i do tego z listem. Żadnych nadgodzin, żadnych ciągnących się w nieskończoność przesłuchań świadków. Zbliżający się urlop pozostaje niezagrożony. Jeszcze tylko trochę i będzie siedział na plaży w Sarbinowie, jadł smażoną rybkę, pił zimne piwo i może nawet do Gąsek skoczy na pierogi...

*

— Nie może to być! Nie może to być! Proszęjaciebie — rozhisteryzowany głos w słuchawce wibrował coraz to silniejszymi emocjami. — No jak to: zabiła się?! Jak to: nie żyje?! Może to jednak pomyłka jakaś, może to serce, bo wiadomo, wiek już nie ten, a upał w tym miesiącu niezwykły. Niby czerwiec, proszęjaciebie, a przecież prawie trzydzieści stopni już od tygodnia! W tym mieście nie ma, doprawdy, czym oddychać, to i serce mogło nie wytrzymać. Zwłaszcza że Maria miała problemy z ciśnieniem. No, ale kto ich nie ma w tym wieku — głos w słuchawce wydawał się niepowstrzymany. Zalewał go niczym dodatkowa porcja ukropu, wypełniał całą kuchnię dziwnymi pretensjami. Nawet Kulka musiała to wyczuć, bo uciekła na krótkich łapkach spalonego kundelka do dużego pokoju i położyła się w wąskiej plamie cienia, tuż obok wysłużonej zielonej sofy.

Michał poczuł nagle obezwładniające zmęczenie.

— Nie wiem, co powiedzieć...

— Ja też nie — w przeciwieństwie do głosu Sze-
łęznego jej był silny i nie załamywał się — i zaraz do
ciebie przyjadę. Wszystko mi opowiesz, bo tak przez
telefon to się nie da!

— Ale ja już wszystko... — próbował oponować,
choć dobrze wiedział, że nie przyniesie to rezultatu.
I rzeczywiście, pani Ala Wejner po prostu się rozłą-
czyła.

Westchnął niezadowolony i bezradnie rozejrzał się
po niewielkiej kuchni. Upał był rzeczywiście niezno-
śny. Nagrzane ponadtygodniowym żarem powietrze
stało w miejscu, niemiłosiernie podkreślając wszech-
obecne drobinki kurzu, choć przecież kilka dni temu
odkurzał. Spojrzał na zegar wiszący na wąskim skraw-
ku ściany między brązowymi szafkami a zamkniętym
od rana oknem. Dochodziła szesnasta. Postanowił,
że jednak zaryzykuje i otworzy je na oścież — wy-
chodziło na podwórze i o tej porze była szansa, że do
mieszkania nie wleje się dodatkowa porcja gorąca. Co
najwyżej hałasy z restauracji U Siemachy i zapachy
z baru mlecznego Smakosz z kamienicy tworzącej
prawe skrzydło budynku.

Opadł ciężko na krzesło. W wiszącym na wprost
wejścia do kuchni przykurzonym lustrze z Ikei zo-
baczył swoje spocone odbicie. Był dziwnie blady,
jakby śmierć sąsiadki wywabiła z jego opalonej już

pierwszym słońcem skóry cały kolor. Niebieska koszula z krótkim rękawem przykleiła mu się do pleców, ale beżowe spodnie wydawały się w porządku.

Przez chwilę, pewnie pod wpływem emocji i tego obezwładniającego upału, pozwolił sobie na coś, czego nie robił od trzech tygodni. Dopuścił myśli, które kłębiły się gdzieś w podświadomości, ale blokowane były przez świadomość. Czy Kaśka byłaby zadowolona z tego zestawu? Co by powiedziała na widok puszczonej luźno koszuli, dokładnie tak, jak lubiła? Czy doceniłaby ogolone niemal do zera włosy? Tak wiele razy go na to namawiała. Przekonywała, że z krótkimi będzie lepiej wyglądał niż z tą mysią kitką, jak nazywała jego kucyk. Bronił go jak niepodległości, a kiedy to się stało, po prostu poszedł do zakładu fryzjerskiego, tego pobliskiego, przy Kieleckiej, do którego i ona kiedyś poszła, i niespodziewanie dla samego siebie kazał sobie zgolić głowę. Teraz przejechał dłonią po szczecinie, lecz zamiast ulgi czuł fantomowy ból. Nie, nie za kucykiem. Za nią.

Ściany nagle zadrżały i powietrze wypełnił dźwięk przejeżdżającego tuż obok tramwaju. Hałas otrzeźwił go momentalnie. Odgonił myśli, przełknął dławiącą go w gardle gulę.

— Weź się w garść, Szeleżny! — nakazał sobie na głos chrapliwym warknięciem.

Poczuł, że zaschło mu w gardle, więc po prostu nachylił się nad zlewem i przez dłuższą chwilę pił

zimną wodę prosto z kranu. Na koniec opłukał twarz. Pomogło. Jeszcze raz popatrzył w lustro. Powinien zmienić koszulę, żeby wyglądać świeżo. Ale, uświadomił sobie, najpewniej już nie zdąży. Pani Ala mieszkała niedaleko, przy Meissnera, raptem dwa przystanki tramwajem od niego. Zrezygnowany cofnął się do kuchni i postanowił nastawić ekspres do kawy. Podobno Tuaregowie na upał piją właśnie gorącą kawę lub herbatę — przypomniało mu się. — I to bardzo słodką. A cukier krzepi — zaśmiał się nerwowo. Kaśka doceniłaby skojarzenie. Kaśka, gdyby tylko tu była, na pewno ogarnęłaby sytuację. I umiałaby postawić granicę Alicji Wejner.

Ale Kaśki tu nie ma. I nie będzie. Więc tylko westchnął, odgonił od siebie jej obraz i napełnił wodą wysłużony ekspres. Od strony Mogilskiej nadjeżdżał kolejny tramwaj. Hałas ponownie wypełnił kuchnię. Drobinki kurzu znowu się podniosły i zawirowały. W rurach zabulgotało.

Po tym spotkaniu pójdę na cmentarz. Kwiaty trzeba podlać, pewnie pomdlały w tym upale. A tak je lubiła — pomyślał. A potem drętwą ciszę przeciął dźwięk domofonu. I głośny szczek Kulki, która zaraz przybiegła z dużego pokoju, merdając z zadowoleniem nieproporcjonalnie długim ogonem.

Szeleżny stanął w drzwiach wejściowych i nasłuchiwał dyszenia zbliżającej się powoli Alicji Wejner. Wspinaczka na czwarte piętro wybudowanej zaraz po

wojnie kamieniczki nawet młodym sprawiała trudności, a kobieta, na którą czekał, była po czterdziestce.

Niekomfortowo wysokie schody pewnie już na etapie projektu były źle wyprofilowane. Michał był jednak pewien, że dodatkowo budowniczowie nowej socjalistycznej ojczyzny rozdzielili między siebie i swoje bliższe oraz dalsze rodziny część cegieł, by w efekcie poradzić sobie z niedoborem materiału, tworząc najprawdźwiwszą architektoniczną przeszkodę. Czasem zastanawiał się, jak by to było, gdyby zamiast być częścią garażu na jakiejś działce czy ściany w domu szwagra, cegły wróciły na planowo przeznaczone im miejsce.

Gdy tylko ubrana w czarne płócienne spodnie i czarną podkoszulkę Wejner pojawiła się na półpiętrze, Kulka przestała merdać. Spojrzała z wyrzutem na swojego pana i potruchtała z powrotem w pobliże sofy.

No tak — pomyślał. — Podobno psy mają świetną intuicję i znają się na ludziach. Chociaż, musiał to przyznać, w przypadku jego suczki to wcale nie było takie oczywiste. Kulka nie znosiła kobiet. Na widok Marii Stranowskiej niemal zawsze obnażała wykrzywione zęby i za nic nie dała się głaskać sąsiadce. Jej najlepszej koleżanki, Alicji Wejner, także nie tolerowała i gdy ta była w zasięgu psiego wzroku, czarno-biała Kulka zmykała, gdzie pieprz rośnie. To jest niezbyt daleko, bo przy takiej posturze nie byłoby to możliwe, ale zawsze w okolice kanapy lub stojącego nieopodal

fotela. No i nie uznawała Kaśki. Ona co prawda mogła ją czasem pogłaskać, ale nigdy, przenigdy Kulka nie pomachała na jej widok ogonem. Nawet wtedy, gdy dawała jej kawałek parówki lub wędzoną szprotkę. Nie, suczka Michała najwyraźniej miała swoje zasady i nie uznawała kobiet. Choć temu, że nie lubiła Wejner, zbyttno się nie dziwił. Prawdę powiedziawszy, sam jej nie znosił. Ta żalobna czerń na przykład. Niby na miejscu, a jednak go drażniła. Śmierć kogoś bliskiego jest niewyobrażalnie bolesna, sam to wiedział najlepiej, a jednak to przebranie było dla niego... no właśnie — przebraniem...

— No-co-to-się-po-ro-bi-ło! — przerwała mu rozważania. — Co-za-nie-szczę-ście! Mi-cha-le! No-kto-to-wi-dział! — choć od drzwi Szeleżnego dzieliły ją raptem dwa schody, musiała na chwilę przystanąć. Trzymające się kurczowo poręczy żylaste niewielkie dłonie z pomalowanymi na czerwono paznokciami jak zawsze skojarzyły mu się z ptasimi szponami.

W ogóle niska i drobna Wejner przypominała mu kurę. A jeszcze dokładniej — kogucika. Zgrabna i zadbana nie wyglądała na starszą o jedenaście lat, a jednak było w niej coś odpychająco drapieżnego. Może to kwestia zabiegów medycyny estetycznej, którym regularnie się oddawała, zmieniając rysy twarzy w coraz bardziej bezosobowe, choć idealnie napięte. A może to kwestia fryzury. Odkąd ją pamiętał, nosiła krótko obcięte włosy z wygolonym niemal do zera bokiem

i irokezem na czubku. Na przestrzeni lat zmieniała jedynie ich kolor. Kiedyś, wiele lat temu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, przyznał się babci, że rudowłosa wówczas kobieta kojarzy mu się z kogucicą. Krystyna Szeleżny, sama niezbyt wysokiej postury, najpierw parsknęła śmiechem, ale zaraz potem spojrzała na niego surowo spod okularów i pogroziła mu palcem. „O takich kobietach mówiło się u nas na Kresach, że gdyby nie wzrost, byłyby przystojne” — powiedziała mu wtedy, choć dałby sobie głowę uciąć, że w głębi serca zgadzała się ze swoim wnukiem.

— Dzień dobry, pani Alu — przywitał się odruchowo. Choć ten dzień wcale nie był dobry.

— Tak, tak — przytaknęła i weszła do mieszkania numer 27. — Co za nieszczęście! Nie-szczę-ście! — powtórzyła, jakby jeszcze tego nie wiedział. — I do tego ten upał... A może — opadła na krzesło w kuchni i wystawiła twarz w stronę otwartego okna, jakby spodziewając się chłodzącej bryzy — to wszystko jednak pomyłka, proszęjaciebie? Po-mył-ka jakaś? I ta cała a-fe-ra z Marią to jednak przez upał. Dajże mi wody, kochany, bo od tego wszystkiego w ustach mi za-sy-cha — dziobała słowa jak kura ziarno. — Byle zimnej, bo z tych emocji to palpitanji jakichś dostaję.

Z ciekawością zlustrowała otwieraną właśnie lodówkę. Za dużo w niej nie było, ale na drzwiach obok mleka stała butelka z muszynianką i karton z rysunkiem pomarańczy.